

Kameleon z Ouauata — Figiel

Od autora: Zastanawiałam się, czy w ogóle publikować ten tekst, ale postanowiłam dać mu szansę. Nadal mam do niego stosunek mniej więcej taki jak macocha do nielubianego pasierba, może dlatego, że został tak pomyślany, by wymusić zmierzenie się z tym, co nie wychodzi mi najlepiej, a na pewno nie tak, jak bym chciała. Czytelnik łatwo zorientuje się o czym mowa. Chętnie przyjmę wskazówki i głosy krytyczne.

Sukces ma moc. Rozgrzewa nawet tych, którzy głośno deklarują, że go nie pragną.

Gerard chciał sukcesów, a przy tym nie był hipokrytą.

Miał trzydzieści lat i świat stał przed nim otworem: wabił tętniącym rytmem, przyzywał mnogością doznań, szybkich, pobieżnych zaledwie jak muśnięcia, a potem kazał biec dalej, wspinać się wyżej, osiągać więcej. Był mu posłuszny. Dlaczego nie? Wszyscy są.

Na końcu tego szaleńczego biegu, przy mecie, wśród oklasków i gratulacji odbierał nagrody – uznanie i prestiż. Ledwo zdążyły przebrzmieć fanfary, ustawiał się ponownie na starcie. Zadanie było proste: dobiec do mety przed innymi. Taki rodzaj zdrowej rywalizacji.

Czy bywał zmęczony? Nie.

Spał krótkim, urywanym snem, na poduszce mokrej od potu, za to z adrenaliną zamiast krwi w żyłach i umysłem zamkniętym na wszystko, z wyjątkiem kolejnego osiągnięcia, którego konsekwencją będzie wzrostowa zmiana układu cyfr na osobistym koncie.

Czy odczuwał samotność? Nie.

Czarna, zasysająca pustka, która tak wielu doprowadza do granic wytrzymałości, krzycząca bólem braku akceptacji, poczuciem wyobcowania i tęsknotą za miłością nie była jego udziałem. Miał sukces. Ciężko wypracowany, to prawda, ale co innego może w życiu dać stabilną satysfakcję?

Osiągnął wiele, czuł, że może wszystko.

Żył. Wszystko układało się tak, jak powinno.

Firma, dla której pracował, negocjowała od paru miesięcy ważny kontrakt. Wynik rozmów był niepewny, do dnia, kiedy szef wszedł do gabinetu Gerarda i zapytał:

– Chcesz usłyszeć dobrą wiadomość?

– Zawsze!

– Umowę mamy w garści, więc rozszerzamy ofertę na Afrykę. Pojedziesz do Beninu dopiąć szczegóły.

Gerard nigdy nie zadawał zbędnych pytań. Zresztą, jaka to różnica: Szwajcaria, Włochy, Stany Zjednoczone, Togo, Burkina Faso czy Benin. Interesy można robić nawet na Marsie. Pieniądz nie zna pojęć miejsca i czasu.

– Kiedy wyjeżdżam?

– Jutro. Zatrzymasz się w Kotonu, największym mieście dystryktu. Masz rezerwację w apartamencie hotelu Golden Tulip Le Diplomate, podobno wyśmienity. Tu są bilety.

– Ile czasu powinno mi to zająć?

– Tydzień.

Skinął głową.

– Uważaj na siebie.

– Bo co? Jakies ryzyko zamachów albo zamieszki na tle politycznym?

– Nie, nie! Nic z tych rzeczy! Po prostu ludzie tam są podobno... No wiesz... Inni.

Kotonu przywitało Gerarda feerią barw oraz kaskadą dźwięków. Oślepiło słońcem i mnogością wzorzystych, kolorowych tkanin, otulających leniwie rozkołysane w biodrach ciała kobiet, niosących na głowach tobołki oraz koszyki wypełnione zakupami. Syciło wzrok wszelkimi odmianami owoców, w najróżniejszych odcieniach zieleni, czerwieni, żółci, pomarańczy oraz fioletu, piętrzących się misternymi piramidami na ulicznych straganach. Ogłuszyło wrzawą odgłosów: pokrzykiwań kierowców i ulicznych sprzedawców, gwarem głośnych rozmów, trąbieniem klaksonów, a w końcu, wszechobecnym warkotem taksówek motocyklowych, których kierowcy ubrani w jaskrawożółte koszulki przemykali ulicami miasta niczym migotliwe iskry. Nad tym wszystkim unosił się żar palącego słońca zmieszany z aromatem gotowanych potraw, płynącym z rozstawionych tu i ówdzie przenośnych kuchni.

Niewiele w tym było uporządkowanego świata Gerarda – sterylnej czystości chodników, spieszących gdzieś samotnie ludzi, karnego ruchu pojazdów, sklepów oddzielonych od ulic szklanymi witrynami i wszechogarniającej bezosobowości.

Afrykańska ulica tętniła niczym krwiobieg, oddychała głęboko jak żywy organizm, złożony z ludzi, pojazdów, barw, odgłosów oraz woni.

Wszystko to powodowało u Gerarda niejaką konsternację, a także – po raz pierwszy w życiu – poczucie lekkiego zagubienia w tym buchającym żywiołowości mieście.

Przydzielono mu kogoś w rodzaju opiekuna i przewodnika. Lionel, jego rówieśnik, miał lekko korpulentną postawę, nosił jeansy i kolorowe koszule, jak większość tutejszych mężczyzn, a głowę przykrywał haftowanym w etniczne wzory kufi. W czarnych oczach, których tęczówki zlewały się z barwą twarzy, wesoło błyskały białka, szeroki uśmiech odsłaniał lśniąco białą zęby.

– Chcesz zobaczyć plażę nad Zatoką i jezioro Nokoué? – wysapał, stawiając torbę Gerarda w pokoju hotelowym.

– Chyba nie będę miał okazji. Wiesz, praca...

– Rozumiem – stropił się, ale zaraz oczy załśniły mu na nowo. – Ale targ Dantokpa musisz odwiedzić! Jest największy w zachodniej Afryce, wyobrażasz sobie? Kupisz tam wszystko, czego dusza zapagnie,

naprawdę wszystko!

– Zobaczymy... Jeśli czas pozwoli. – Gerard nie lubił składać obietnic, których miał potem nie dotrzymać, a był pewien, że obowiązki zawodowe wypełnią mu cały tydzień i to bez chwili wytchnienia.

Wbrew tym przewidywaniom, negocjacje postępowały sprawnie. Strona afrykańska była dobrze przygotowana, więc szybko przedyskutowano warunki, wszelkie drobne kwestie zostały wyjaśnione, pozostało czekać tylko na złożenie podpisów, co miało nastąpić rankiem, w dniu wyjazdu Gerarda. Po trzech intensywnych dniach mógł więc cieszyć się wolnym. Lionel przyjął to z entuzjazmem.

– Chodź na targ – nalegał. – Nie wypuszczę cię z Beninu, zanim go nie zobaczysz!

Gerard, który leżał na łóżku i cieszył się chłodem pokoju nie miał specjalnej ochoty włączyć się w upale po jakimś targu, widząc w tym bezsensowny wysiłek. Hotel miał przecież świetnie zaopatrzony klimatyzowany sklep, w którym mógł kupić wszystko, czego potrzebował. Ale nie chciał też robić przykrości mężczyźnie, który w ostatnich dniach był bardzo pomocny nie tylko jako kierowca, ale również dlatego, że kilkakrotnie ochronił go przed pułapkami zawodowych naciągaczy turystów, czym zaskarbił sobie sympatię Gerarda, a to z kolei nadało ich relacji pewnej zażyłości.

– Zgoda! – powiedział w końcu. – Diabła byś tam zaciągnął swoim uporem, a co dopiero mnie.

Lionel wyszczerzył w uśmiechu zęby:

– To rusz się! No, dawaj!

Bazar Dantokpa wywarł na Gerardzie wrażenie porównywalne chyba tylko do osłupienia chińskich emigrantów z lat sześćdziesiątych, gdy po raz pierwszy zobaczyli amerykański supermarket.

Jeśli ulice Kotonu lśniły barwami, tu ich różnorodność zapierała dech w piersiach. Gerard oglądał wystawione na sprzedaż żywe, morskie stworzenia zdumiewające kształtami i kolorami, patrzył na ogromne okazy znanych mu ryb i takich, których istnienia nawet nie podejrzewał. Bogactwo wyszukanych owoców, które odnajdował w rodzimych, ekskluzywnych sklepach, było jedynie lichą namiastką oferty Dantokpy. Przeciskał się więc wąskimi przejściami wśród straganów, wdychał wszechobecny kurz, unoszący się rdzawymi obłoczkami spod nóg tłumu, pocił w upale, tak, że mokra koszula przyklejała się do grzbietu, ale z fascynacją oglądał kolejne stoiska. Po trzech godzinach był wykończony i gdy myślał, że obejrzał już wszystko, Lionel skierował się ku najdalszej części targu.

– Teraz pójdziemy do sekcji fetyszy. Muszę tam coś kupić... – Zawahał się. – Mam nadzieję, że masz mocne nerwy...

Gerard tylko się roześmiał. Słowo "fetysz" znaczyło dlań tyle, co bransoletka z paciorków lub srebrny wisiorek z wizerunkiem ręki Fatimy na rzemyku.

Nic nie przygotowało go na widok straganów zawałonych skórami zwierzęcymi, zmumifikowanymi jaszczurkami, szczurami i małpami. Obok wystawiono czaszki różnych zwierząt: od najmniejszych gryzoni, przez kozie, krowie, do ogromnych, które należały kiedyś do dziko żyjących stworzeń. Ich rogi, kły, ogony i pazury piętrzyły się na ziemi, przy stoiskach, w stertach, obok ciasno wyplatanych koszy z po-

krywami. Gdy podniósł jedną z nich, zobaczył w środku żywe węże zbite w splataną, wijącą się masę.

Inne stragany oferowały amulety o przerażających kształtach, grzechotki wydające złowróżbne dźwięki oraz różnych rozmiarów bębny obciągnięte kozłimi skórą. Błyskały w afrykańskim słońcu równo poukładane noże, z dziwacznie zdobionymi rękojeściami oraz kształtami ostrzy, których przeznaczenia Gerard wolał się nie domyślać.

Były też maski. Setki masek: wykonanych z drewna lub tkanin, straszących szopą poskręcanych, sznurkowych włosów, lub dla odmiany bezwłose, lśniące łatami wypolerowanej skóry. Niektóre zaledwie posępne i mroczne, inne z wykrzywionymi wściekłością czerwonymi ustami pośród głębokiej jak noc czerni, pocięte rytualnymi tatuażami, zastygłe w krzyku lub szczerzące zęby. Duże i małe, wszystkie budzące grozę. Pośród tego wszystkiego unosił się zapach różnorakich ziół, powiązanych w pęczki i rozwieszonych na sznurkach wokół stoisk.

Zatrzymali się przy jednym z nich, gdzie Lionel kupił wiązkę wysuszonych, brunatnych traw.

– Po co to komu? – wykrztusił Gerard, wodząc dookoła wzrokiem.

– Do voodoo – odpowiedział spokojnie Lionel. – No wiesz, magii.

– Praktykujesz magię?!

– Jak wielu w Beninie. A mój dziadek jest znanym uzdrowicielem, te zioła są dla niego.

– Chcesz powiedzieć – Gerard mówił wolno, starannie dobierając słowa, by nie urazić swojego przewodnika – że gotuje tajemnicze wywary, wypowiada nad nimi zaklęcia i każe je ludziom pić, a oni od tego zdrowieją?

Lionel skinął głową, jakby potwierdzał oczywistość.

– I pewnie zna się na czarnej magii? Wiesz, czarne świece, demony i te sprawy... – Gerard nie darował sobie drobnej uszczypliwości.

– Tak, ale jej nie stosuje. To robią tylko ci o największej mocy i bardzo rzadko. Widzisz, tu, w Beninie, magia jest obecna w codziennym życiu niemal każdej rodziny. Zapewnia dobrobyt i szczęście, chroni od czarów oraz uroków. Voodoo jest naszą religią i, uwierz, ma ogromną moc. Na targu wiele nie zobaczysz. Tu – machnął ręką w stronę najbliższego stoiska – są tylko niegroźne rekwizyty. Ale gdybyś przyjechał w styczniu, mógłbyś naprawdę poczuć voodoo. Wtedy na plażę w Ouidah, jakieś czterdzieści kilometrów stąd, zjeżdżają najwięksi czarownicy – leczą, odprawiają rytuały, czasem dość krwawe. Turyści rzadko wytrzymują, ale ty chyba dałbyś radę, jesteś twardy – zamilkł i przez chwilę uważnie przyglądał się Gerardowi.

– Gdybyś chciał – podjął z namysłem – jutro w Ouauata, wiosce, z której pochodzę, odbywa się ceremonia oczyszczenia. Jeżeli obiecasz odnosić się z szacunkiem do naszych bogów, mógłbyś zobaczyć prawdziwe voodoo, nie jakiś pokaz dla turystów, ale jego esencję. Zainteresowany?

Było coś takiego w unoszącej się wokół atmosferze, że Gerard bez zastanowienia trzykrotnie kiwnął głową.

Do Ouaouata, gdy skręciło się już z trasy w prowadzącej do rezerwatów Forêt des Monts Kouffé i Forêt Wari Maro, prowadziła droga ubita setkami bosych stóp, przemierzających ją dzień po dniu, od wschodu do zachodu słońca.

Wiodła początkowo przez bujną afrykańską zieleń, potem wśród suchych, szeleszczących traw, a w końcu zwężała się w dróżkę, ledwie na szerokość niewielkiego samochodu. Docierała do kilkunastu chat, przycupniętych wokół placu nagiej, czerwono-brunatnej ziemi.

Niektóre domostwa pokryte były cieniątką warstwą jasnego tynku, inne miały ścianach w kolorze wyblakłej w słońcu gliny; te otynkowane, zadaszono byle jak blachą falistą, resztę pokryto w sposób tradycyjny, łodygami traw i wysuszonymi liśćmi palmowymi.

Ludzie zdawali się tu istnieć poza czasem.

Siedzieli przed chatami, samotnie lub w gromadkach, pod zadaszeniami z traw, chroniąc się od słonecznego żaru; mężczyźni w sarongach, z odsłoniętymi torsami o barwie hebanu, kobiety w kolorowych sukniach i chustach, upiętych na głowach w fantazyjne formy.

Młode mężatki zebrały się w niewielką grupkę i żywo gestykulując, prowadziły rozmowę w plemiennym języku *Fon*. Starsze kobiety, siedzące obok, z rzadka dorzucały zdanie lub dwa. Mężczyźni w milczeniu przeżuwali żdźbła trawy lub po prostu patrzyli w przestrzeń.

Pomiędzy dorosłych rozkrzyczaną gromadką raz po raz wbiegały nagie dzieci. Na głowach dziewczynek sterczały sztywne warkoczki, chłopięce pokrywały krótkie wełniste włosy. Za nimi, krok w krok, podążały dwa żółte, chude psy, potęgując harmider donośnym szczekaniem, które płoszyło chłodzące się w piasku kury i powodowało niepokój wśród kóz. Matki głośno karmiły dzieci, które ze śmiechem odbiegały na tyły chat, by za chwilę znów powrócić, niczym stado rozkrzyczanych papug.

Odgłos zbliżającego się samochodu wywołał wśród mieszkańców poruszenie: mężczyźni powstali z miejsc, kobiety przerwały rozmowę, a gdy auto wjechało na plac, otoczyli je tłumnie.

Gerard, ledwie otworzył drzwi, poczuł na sobie dotknięcia dziesiątek czarnych dłoni, które w geście powitania prześlizgiwały się po jego głowie, ramionach, tułowi.

Poddawał się im – ku własnemu zdumieniu – bez niechęci, choć była to jawna ingerencja w strefę prywatności. Zawsze czuł się źle w zbytnej bliskości drugiego człowieka i nawet krótka jazda windą z obcymi, wywoływała w nim wrażenie dyskomfortu, bo naruszała wyznaczony innym obszar.

W dotyku, którego doznawał, było jednak przesłanie niczym nie zasłużonej sympatii, gościnności i akceptacji. Stał więc, pozwalając dotykać się obcym dłońmi, które zaraz pociągnęły go w cień chat i posadziły na wyplatanej macie, obok Lionela. Młode dziewczęta przyniosły miseczki, z których unosił się aromat duszonego mięsa.

– No, na co czekasz? – zachęcał Lionel. – Jedz! Jeśli nie przyjmiesz ofiarowanego posiłku, obrazisz całą wioskę. Nie radzę! – Błysnął wesoło oczyma. – A poza tym, masz przed sobą najlepsze fufu na świecie, nikt nie robi takiego, jak moja matka! – Zgrabnie oderwał kawałek ciasta, uformował z niego w palcach niewielką kulkę, którą zanurzył w bursztynowym sosie z kawałkami kurzego mięsa.

Gerard z pewnym ociąganiem zrobił to samo, ale gdy wsunięta do ust kulka rozpuściła się na podniebieniu łagodnym smakiem doskonale skomponowanych przypraw, nie wiedząc jak wyrazić swoją aprobatę,

po prostu uniósł wysoko kciuk do góry, czym wzbudził hałaśliwe zadowolenie uważnie obserwujących go kobiet.

Gdy zabrały puste naczynia, Lionel przysunął się do Gerarda.

– Posłuchaj – rzekł, a na jego zazwyczaj pogodnej twarzy zagościła powaga. – Jesteś dziś nie tylko moim gościem, ale też wszystkich mieszkańców wioski. Cokolwiek zobaczysz, wiedz, że nic ci się nie stanie. Jesteś tylko widzem, więc duchy nie będą się tobą interesować, chyba że je w jakiś sposób zachęcisz. Najlepiej nie wstawaj, nie wykonuj żadnych ruchów. Nic nie mów, nie dotykaj nikogo i niczego. Siedź i patrz, to wszystko. Rozumiesz?

– Tak.

– Zobaczysz trans *goro*, jedno z największych wtajemniczeń voodoo. Dusze jego uczestników opuszczają na jakiś czas ciała, by spotkać się z bogami. Doznają oczyszczenia ze wszystkich złych uczynków i trujących pragnień, które je niszczą. Czysta dusza zacznie życie od nowa, wolna od złości, nienawiści i tego wszystkiego zła, które siedzi w człowieku. Na koniec czarownik złoży ofiarę. – Ruchem głowy wskazał uwiązaną przy paliku małą kózkę. – Ona symbolizuje czystość i niewinność odrodzonych dusz, jest podziękowaniem za łaskawość bogów. Mdlejesz na widok krwi?

– Nie, chyba nie...

– To dobrze. Zaraz pojawi się kapłan i rozpocznie rytuał. Pamiętaj, co mówiłem: siedź i patrz, nic więcej!

– Uściśnął lekko ramię Gerarda, po czym odszedł w kierunku grupy mężczyzn, pozostawiając go samotnie w cieniu słomianego zadaszenia.

Ceremonię rozpoczął śpiew kobiet – rytmiczny, jednostajnie zawodzący, któremu wtórowały głośne dźwięki bębnów, piszczałek, dzwonków i grzechotek.

Z chaty wyszedł czarownik w białym sarongu, z twarzą oraz torsem pokrytym żółtymi i białymi znakami. Krok za nim podążały dwie kobiety, również w bieli, jedna z małym woreczkiem w dłoniach. Zatrzymały się, gdy mężczyzna stanął przed rzędem butelek ułożonych w niedalekiej odległości od wejścia, spoczywających równo, jedna obok drugiej i posypanych białą substancją. Czarownik opadł na kolana i, opierając dłonie o ziemię, czołem dotknął szkła. Silnym głosem wyrzucał z siebie słowa, w czasie, gdy kobieta z woreczkiem okrążała go kilkakrotnie, a potem, stając twarzą do kapłana, skłoniła się lekko i zaczęła ostrożnie wysypywać biały pył, kreśląc na pomarańczowej ziemi okrąg, odchodząc od niego długą linię prostą, za nią następny okrąg oraz kolejny, każdy połączony białą kreskami z poprzednimi.

– To ścieżka *goro*, rodzaj drogowskazu dla bogów i duchów – wyjaśnił Lionel, zajmując na powrót miejsce obok Gerarda. – Czarownik właśnie ich przyzywa. Każdy, kto wejdzie na ścieżkę, będzie pod boskim władaniem. Lepiej, żebyś od tej chwili był przy tobie. Zaraz się zacznie.

Kapłan powstał i cofnął się, a jego miejsce zajęła druga z towarzyszących mu kobiet.

Podniosła szczerze obsypaną białym pyłem butelkę, przez moment stała w skupieniu, a potem wstąpiła na ścieżkę – szła po liniach, zatrzymując się w każdym kręgu, gdzie schylała się nisko i uderzała szkłem

o ziemię. Gdy doszła do ostatniego, butelka wypadła jej z ręki, nim zdążyła wykonać kolejne uderzenie. W tym samym momencie jej ciało zasnęło w katatonicznym bezruchu, z ręką uwięzioną w niedokończonym geście, oczami wywróconymi ku górze i tęczęwkami zbiegłymi do wewnętrznych kącików oczu. Nieruchoma, została zniesiona z placu niczym manekin.

– Inicjacja się powiodła – powiedział Lionel. – Bogowie będą dziś przychylni. Teraz wybrańcy zostaną oczyszczeni.

– A co z tą kobietą?

– Zajmą się nią. – Wskazał ruchem głowy ludzi, którzy dmuchali w nieruchomą twarz żółtym pyłem i polewali ciało wodą. – Nie można pozostawać w transie zbyt długo, to niebezpieczne. Białe proszek go inicjuje, żółty wycisza. Teraz patrz!

Śpiew wzniósł się hałaśliwymi tonami, instrumenty oszalały w rękach muzyków głuchym bębnieniem, zmieszany ze skrzekliwymi głosami piszczałek i cichym syczeniem grzechotek. Ciała zebranych uległy hipnotyzującemu rytmowi: drgały rozkołysane biodra, ciężłe powietrze ramiona wyrzucane w górę i na boki, stopy uderzały o ziemię, wzbijając w powietrze chmury pyłu osiadającego na rozpalonych ciałach.

Następną butelkę podjął mężczyzna w zielonym sarongu. W ostatnim kręgu padł na ziemię i zaczął toczyć się wokół placu niczym piłka, ze skulonymi nogami i głową schowaną w ramionach. Jego sarong rozluźnił się i długim zwojem spoczął na ziemi, tworząc złudzenie z nagła wyrosłej na pomarańczowym piasku trawy, tratowanej przez zapelniające plac coraz to nowe postacie – drgające, skaczące, turlające się, potrząsające konwulsyjnie ramionami; wirujące, szalone kolorowe ludzkie plamy, powyginane w najdziwniejszych figurach. Jednak nie wszyscy zatracali się w tańcu.

Dwóch mężczyzn usiadło na ziemi, naprzeciw siebie, z wyprostowanymi nogami. Chwycili się za dłonie lewymi rękoma jak dzieci, które chcą zawirować w radosnej karuzeli, a prawymi cięli własne przedramiona fragmentami szkła z jakieś rozbitej w zapamiętaniu butelki, ruchami tak idealnie synchronicznymi, że przywodziły na myśl efekt długotrwałych ćwiczeń. Skapująca krew znaczyła piach czerwonymi, szybko wysychającymi kroplami, jakby duchy ziemi z radością przyjmowały ofiarę. Gdy próbowano mężczyzn rozdzielić, wrzeszczeli zwierzęco i, kopiąc na oślep, bronili do siebie dostępu, jednak ani na chwilę nie puścili dłoni, tnąc się coraz szybciej, w rytm narastającego głosu bębnow. Dopiero, gdy przybiegły kobiety z woreczkami pełnymi żółtego proszku i kilkakrotnie dmuchnęły każdemu w twarz złotym pyłem, zastygli w bezruchu z oczami zbiegłymi w głąb czaszek.

Obu zniesiono na bok, gdzie w cieniu zadaszeń ci, którzy zakończyli trans wracali z odległych wymiarów. Budzili się powoli, mrugając powiekami. Kobiety polewały ich ciała wodą z przygotowanych wcześniej naczyń, zebranych z całej wioski. Wstawali, przez chwilę lub dwie niepewnie trzymali się na nogach, a potem, jakby nic się nie stało, dołączali do innych.

Lionel oderwał wzrok od placu i spojrzał na swojego gościa. Twarz Gerarda zastygła w wyrazie niedowierzania zmieszanego z fascynacją. Oczy wodziły za szalonymi ruchami dwóch ostatnich uczestników rytuału, ciało kołysało się rytmicznie na boki, a pierś unosiła i opadała w przyspieszonym oddechu.

– Ej, bracie! – Lionel potrząsnął jego ramieniem.

– Co mówiłeś? – Gerard ocknął się i zamrugał oczami.

– Jeszcze nic, ale skoro pytasz, to powiem, że nieźle cię szarpnęło! – Zaśmiał się. – W każdym razie ceremonia już się kończy. Nie ma więcej butelek, możemy wracać – Zaczął wstawać. – Chyba że chcesz zobaczyć rytuał ofiarny, uprzedzam, dość krwawy. To jak?

Nagle wyrósł przed nimi czarownik. Chwilę stał nieruchomo, potem schylił się, a obsypana pyłem, upiorna twarz, znalazła się na wysokości oczu Gerarda. Ruchem szybszym od ataku tygrysa dźgnął go w pierś dłonią zwiniętą w łódkę. Usta wyrzuciły krótkie, gardłowe słowa.

– Co on mówi? – Gerard poczuł na plecach nieprzyjemny dreszcz, który znalazł swój początek na karku, a potem, niczym wąska strużka lodowatej wody rozlał się wzdłuż kręgosłupa i ud, by skończyć wędrówkę w stopach.

– Powiedział: skóra kameleona.

– Co?

Kapłan klasnął w dłonie. Miliony drobin białego proszku zatańczyły przed oczyma Gerarda w wirującym obłoczku i powoli osiadły na jego twarzy i włosach.

Gdybym jeszcze raz mógł zacząć od początku, tym razem usiłowałbym popełnić więcej błędów. Nie starałbym się być tak doskonały. Więcej bym odpoczywał. Rozluźniłabym się, był bardziej beztroski i wiele spraw traktował poważniej. Wykorzystałbym więcej szans, więcej bym podróżował, przewędrował więcej gór, przepłynął więcej rzek, odwiedził więcej nieznanych mi miejsc. Jadłbym więcej lodów (...) wiosną wyskakiwałbym boso z łóżka, a jesienią wstawał później, więcej bym jeździł na karuzeli, obejrzał więcej wschodów słońca...

Andrew Mathhews, "Bądź szczęśliwy"

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelakiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Figiel, dodano 16.02.2018 18:39

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.